Nr. 40. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 30 Września 1871.

Redakcja przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 27. Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt Kraków: Friedlein, Józef Czech.

OD REDAKCJI.

Z dniem dzisiejszym otwieramy przedpłatę na **Dzieło zbiorowe** na pamiątkę stuletniéj rocznicy pierwszego rozbioru Polski.

W skład książki téj wejdą artykuły najznakomitszych autorów, z wszelkich gałęzi piśmiennictwa naszego jako dowód niespożytéj żywotności polskiego narodu, który pomimo stu lat niewoli tak na polu literatury jak sztuki podąża za ogólnym postępem.

Cena dzieła zbiorowego wynosi 4 tal., dla prenumeratorów Tygodnika tylko dwa talary. Po wydrukowaniu zaś znacznie ona podwyższoną będzie.

Dla zobopólnéj kontroli nazwiska przedpłacicieli tak w Dzienniku Poznańskim, jak w Tygodniku Wielkopolskim i na czele samegoż dzieła umieszczane będą.

Od ilości prenumeratorów zależeć będzie ozdobność wydania téj prawdziwéj dla każdéj polskiéj rodziny pamiątki.

Przedpłatę przyjmuje redakcja Tygodnika Wielkopolskiego aż do dnia 1go stycznia 1872 roku.

* *
*

Szanownym Czytelnikom pisma naszego przypominamy, że nadchodzi czas składania abonamentu, przyczém prosimy o zachowanie kwitów prenumeracyjnych.

Edmund Callier.

LIST

Doktora *Henryka Levittoux* do Doktora *Karola Libelta*

w odpowiedzi na jego artykuł o „Drugiém wydaniu

FILOZOFJI NATURY

w języku polskim, Warszawa 1869“, zamieszczony w numerach 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28 i 29

Tygodnika Wielkopolskiego.

(Ciąg dalszy.)

Co do zarzutu Pańskiego, jakkolwiek z lekka postawionego i dotyczącego raczéj jednego rozdziału jak całéj książki, że filozofja moja nie jest filozofją lecz raczéj fizjologją dla tego, że zdaniem Pańskiém, „wychodzę z Atomu i z Siły“ — prawda, że zaczynam książkę moją od filozofji Atomu i od filozofji Siły; prawda, że uważam siłę fizyczną, czyli Atom żywy, najdrobniejszą jéj cząstkę niepodzielną za element całéj kreacji, lecz nie mniejszą jest prawdą, że przyznając sile fizycznéj bezwiedną działalność według praw Mądrości, która w niéj działa, dla zmysłów naszych ukryta, a razem o tyle jawna, o ile to się zgadza z prawami mądrości, uważam Boga za stwórcę, esencję, treść i duszę téj siły, za mądrość działającą i rozumiejącą się w sile. Nie z siły więc wychodzę, nie z atomu, lecz z Boga. — Co zaś do tego, że nie mogłem napisać *filozofji* lecz *fizjologję* tylko, a to dla tego, że wychodzę z atomu i z siły, to gdyby nawet zdanie Pańskie co do ostatniéj kwestji było słuszne, to Leucypp i inni filozofowie greccy także pisali o Atomie, o materji; jedni wyprowadzali świat z wody, drudzy z ognia, jedni przeczyli bytności Boga, drudzy dowodzili że Bóg jest i pisali o stworzeniu świata, o elementach natury, a przecież ich nikt za to do *fizjologów* nie załącza. Keplerowi, który filozofji nie pisał, za jego poglądy naukowe w astronomji potomność przyznała imię filozofa i poety nawet; Anglicy chlubią się Herschlem, jako wielkim filozofem, chociaż astronom ten żadnéj filozofji idealnéj nie napisał; H. Davy, chemik, poglądom swoim naukowym dał tytuł „*Ostatnich Dni Filozofa*“ chociaż nikomu nie przyszło do głowy zmienić tytuł ten na „Ostatnie dni chemika;“ Ojciec Secchi, fizyk i astronom, który tylko syntezę sił prostych napisał, uważając niewłaściwie ruch za element sił w naturze, a położył na dziele swojém napis: „*Essai de Philosophie Naturelle*;“ sam zresztą Pan przyznajesz, że Anglicy mają swoją filozofję fizyki, chemji itp. dla czegóżby więc książka moja, która nie traktuje żadnéj nauki ex professo, lecz zajmuje się dochodzeniem filozoficznéj doniosłości faktów naukowych, która stosuje filozofję do nauki i podnosi idee na tém polu zdobyte do ogólnych poglądów na Boga i na naturę, która więc głównie zajmuje się spekulacjami z dziedziny metafizyki za grunt naukę mającéj, miała być raczéj fizjologją, aniżeli filozofją? Zresztą, ja nie piszę o saméj tylko zoologji, ani wyłącznie o botanice; fizjologja w pewnych tylko momentach pracy mojéj główną gra rolę; jakkolwiek i tu nie jest ona *Omegą* moich docierań; gdyż zawsze z fizjologji nawet wchodzę na pole metafizyki, w granicach wszakże, na jakie nauka, czyli podstawa mojego rozumowania pozwala. — Nie piszę o funkcjach tylko roślinnych i zwierzęcych, lecz daję konkluzje filozoficzne faktów z dziedziny wszystkich nauk traktujących o naturze, lub o jéj prawach; a wiadomo mi, że nauki, które się skalpelem już nie posługują, które więc wyszły z granic nauk fizycznych, experymentalnych, które wyszły z granic obserwacji, które idą po fizyce, zowią się nie *fizjologją*, lecz *post-fizyką*, czyli *metafizyką*. Pisząc więc książkę poświęconą spekulacjom metafizycznym obserwacji naukowych całéj natury dotyczących, nie *fizjologję* ostatecznie, gdyby nawet w jednym tylko rozdziale, lecz *filozofję przyrody* napisałem. Prawda, że wyżéj nie sięgam, jak natura i nauka pozwala, prawda, że idealiści mnie prześcignęli, lecz właśnie w tém jest moja siła, że umiałem się oprzeć pokusie urojeń. Mówię naprzykład o Bogu, ile mi na to prawa natury i mądrość niemi rządząca pozwala, ile Go w sobie poznałem; przechodzę nawet poniekąd zakres téj granicy; lecz dosyć dla mnie, żem Boga znalazł w naturze, że przyszedłem do poznania, że duch mój jest Jego cząstką, że istności Boga nie zaprzeczam, że wierzę w byt Ducha twórczego w naturze, która, dla mnie, nieskończoność przestrzeni i czasu napełnia i to mojéj filozofji pozytywnéj czyli naukowéj, a którą nazwę filozofją poważną, wystarcza. Filozofji czystéj, jak i matematyce czystéj prawa bytu nigdy nie odmawiałem; gdyż bez pierwszéj, jak i bez drugiéj nie byłoby tych nauk stosowanych. — Platon z całym szeregiem idealistów, nie wyłączając z nich Schellinga i Hegla, byli bez zaprzeczenia wielkimi filozofami i w historji filozofji każdy z nich zajmuje wysokie miejsce. — Wiem, że bez filozofji idealnéj nie byłoby i pozytywnéj. Przyznasz Pan jednak, uwzględniając, że filozofja stosowana wszystkich wieków zawsze szła w parze ze stanem nauki (Descartes jeżeli uważał zwierzęta za machiny funkcjonujące, za automaty, to dla tego tylko, że nauki przyrodnicze w owym czasie wznieść mu się wyżéj nie pozwoliły) i że powinna iść zawsze w ślad za nauką; że co było wielkiém i podziw w swoim czasie obudzało, przy obecnym postępie nauk, do historji tylko rozwoju i intelligencji ludzkiéj należy, że filozofować dziś o duszy lub o naturze jak się wyraziłem w odpowiedzi na krytyki recenzentów warszawskich, zamieszczonéj przy 2giém wydaniu pracy mojéj) bez znajomości organizmu człowieka i jego funkcji jest to postępować bez światła w ciemnościach. — Jeżeli więc odmówiłem tytułu filozofa piszącemu o przyrodzie a nawet o duszy, która zdaniem mojém także prawami natury jest objęta, a który nie zna tych nauk, nie idzie za tém, ażebym go odmawiał Myślicielowi, który filozofję czystą uprawia, jak popełniłbym błąd wielki odmawiając tytułu Matematyka Panu Cauchy dla tego, że ten uczony posuwając wciąż naprzód matematykę czystą, tyle do jéj postępu, a ztąd i do jéj zastosowania w dziedzinie Mechaniki i Astronomji bezpośrednio się przyczynił.

Czyżbyś Pan jednak nazwał pracę moją raczéj fizjologją, aniżeli filozofją dla tego, że ta w traktowaniu kwestji przyrody opiéra się na nauce?

W konkluzji, inna rzecz, zdaniem mojém, fakta naukowe, inna filozoficzne ich znaczenie, inna rzecz fizjologja, inna rzecz filozofja, a inna rzecz filozofja natury na nauce oparta. — Dla tego też, jeżeli nie położyłem tytułu *fizjologja*, czego zresztą sam Pan nie żądasz, lecz *filozofja natury* na książce mojéj, uczyniłem to z wiedzą tego co czynię. — Gdyby zaś filozofja moja koniecznie już tak chorobliwą być miała i do tego bez związku logicznego i metafizycznego, chociażby tylko między szczegółami zakres jednego rozdziału nie przechodzącymi, jak Pan znajdujesz, nazywając to usterką w szczegółach, — jakżebym mógł pogodzić to zdanie Jego z gorącemi pochwałami, acz niezasłużonemi, których zkąd inąd dla całéj pracy nie szczędzisz? (Nr. 29, str. 350 i inne). Jakby mogła *filozofja*, mówię, bez związku chociażby tylko w szczegółach,

obudzić w Mężu potęgi wiedzy i logiki Pańskiéj tak zaszczytne zdanie, którém ją w końcu darzysz? —

Co do uwagi Pańskiéj, że nie stworzyłem nowego systemu filozoficznego, rzeczywiście nie szło mi jak to Pan widzisz, o filozofję czystą czyli o filozofję dla filozofji, w któréj dużo bez poważnych, chcę mówić bez naukowych danych prawić i błąkać się w krainie idei, nawet najsilniejszą logiką związanych, można; lecz szło mi o coś zdaniem mojém trwalszego: to jest o zastowanie filozofji do nauki i jeżeli filozofja moja nie daje, zdaniem Pańskiém, nowego systemu filozoficznego, obala za to wszystkie systemy filozoficzne nie oparte na powadze nauki i podaje na to miejsce nowy pogląd na Naturę i na Stwórcę, czyli daje syntezę całéj kreacji w najogólniejszém filozoficznym znaczeniu, któréj Pan raczyłeś tak zaszczytnego uznania Swego nie odmówić, daje nową teorję A t o m u i siły, wyjaśnia stosunek siły do materji, daje *siłę elementarną* w miejsce *ruchu* Ojca Secchi, tłumaczy jakim sposobem dusza łączy się z ciałem, czyli wyjaśnia związek siły spirytualnéj z materją, *a wszystko w drodze metamorfozy postępowéj, lub wstecznéj:* fakta, które również wysokie uznanie Pańskie zyskały; podaje nadto teorję stworzenia świata, jego ewolucji jak i rozwoju kreacji organicznéj, stworzenie ziemi, człowieka, tłumaczy rewolucje naszego planety, mówi o jego przyszłości, wyjaśnia zdaniem mojém, stosunek Boga do natury, mówi o powrocie stworzenia, drogą metamorfozy wstecznéj, na łono Stwórcy wszechrzeczy do Boga, a ostatecznie daje acz w szczupłych granicach pojęcie Boga i nieśmiertelności duszy, czyli życia przyszłego.

(Dokończenie nastąpi.)

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

— Wszak przypominasz sobie Antosia, księże Andrzeju? — rzekł kapitan z dziwném wzruszeniem. — Wiesz, jak skończył!... Ten biedny chłopak, którego jak własnego syna kochałem, bo mi sercem i zaletami swemi przypominał mego jedynego brata, padł, jak wiesz, ofiarą łotra Młody, trochę lekkomyślny, dostał się w ręce najstraszliwszego lichwiarza, który wyssawszy zeń wszystko, bo Antoś miał po ojcu piękny fundusik i miał się z czego dorabiać na świecie, umiał skorzystać z desperacji nieszczęśliwego chłopca i skłonił go do czynu upadlającego. Nie widząc wyjścia z ciężkich kłopotów, zaślepiony fałszywym wstydem zwierzenia się przedemną, dopuścił się w słabéj chwili występku, który mu podyktował ów zbrodniarz, radząc mu uciec się do fałszywych podpisów... Biedny Antoś w chwilowém obłąkaniu dał się skłonić, w chwilowém obłąkaniu, mówię, bo to był chłopak krwi dobréj i zacnego serca, ale w kilka dni potém przeraziwszy się własnego czynu, jak wiesz, zastrzelił się...

Zyberg przestał mówić, bo boleśne rozrzewnienie głos mu zaparło w piersiach a pod siwemi rzęsami łzy mu zabłysnęły.

Ksiądz Plisza płakał jak dziecko...

— Wiesz drogi proboszczu, że wówczas mająteczkiem moim całym uratowałem dobre imię i zacną pamięć nieszczęśliwego chłopaka — ciągnął daléj Zyberg, przyszedłszy nieco do siebie. — Miałem najoczywistsze dowody łotrostwa, mogłem niepłacić fałszywych wexlów, wszak biedny Antoś nie żył już... mogłem w więzieniu osadzić łotra, przeciw któremu miałem wszelkie prawne świadectwa! Niechciałem... Bałem się splamić poczciwe nazwisko, bo w procesie musiałby był wystąpić na jaw błąd mego bratanka...

— Wystawże sobie, drogi proboszczu — mówił daléj Zyberg, tłumiąc gwałtownie serdeczne rozżalenie — dzisiaj, przed chwilą, tu w Zbrojnéj, spotkałem mordercę tego biednego dziecka, tego zbrodniarza, żyda nazwiskiem Saugera!

— Bóg z nami! — zawołał w przerażeniu ksiądz Plisza. „Bóg z nami“, było to rzec można przysłowie czcigodnego kapłana. — Kapitanie, czegoż chciał ten człowiek?...

— Proboszczu kochany, przerazisz się, gdy ci dopowiem reszty — odparł kapitan. — Ten Sauger chciał się koniecznie widzieć z hrabiną Rokicką, a nieprzypuszczony, taki list do niéj zostawił...

Zyberg podał list księdzu Pliszy. Był to nieforemnie złożony kawałek sinego papieru, zapieczętowany grejcarem. List ten opiewał, jak następuje:

„Jaśnie Wielmożna Pani Hrabino!

„Przed kilku tygodniami kupiłem od jednego zna-„jomego mi kupca wexel na 6,000 złr. podpisany przez „Jaśnie Wielmożną panią hrabinę i przez JW. pana hra-„biego Oktawa Jarskiego. Ponieważ termin już upłynął „a p. hrabia Jarski nie może wypłacić téj sumy, udaję „się do JW. p. hrabiny z uniżoną prożbą o załatwienie „téj bagatelki. Przykroby mi było robić JWPani i panu „hrabiemu Jarskiemu nieprzyjemności sądowe. Czekam „tu w gospodzie na odpowiedź.

Najniższy sługa

S a u g e r.“

Do listu tego dodane było następujące P o s t s c r i p t u m.

„Ja pięknie przepraszam, że się nieudałem z tym „interesem do Jaśnie Pana Excellencji jenerała, ale „JW. panią hrabinę samą fatyguję. Jeżeli Jasna Pani „hrabina rozkaże, to ja się udam wprost do Jéj JWiel-„możnego męża.“

Cały ten list pisany był żydowską polszczyzną i pełny był gramatycznych i ortograficznych błędów, któreśmy wypuścili. Cały przypisek pisany był dużemi, dosadnemi literami, a każde słowo było w nim podkreślone...

Ksiądz Plisza przeczytawszy, rzucił od siebie brudny papier z wstrętem i zrobił ruch dłoni, jakby ją chciał obetrzeć.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał. — Ja tego pojąć nie mogę...

— To znaczy, że ten list jest piekielną bombą, która gdyby pękła w domu Rokickich, zniszczyłaby cały ich spokój domowy!

— Czy hrabina ten list czytała?

— Nie widziała go nawet. Przejąłem go dość wcześnie.

— Któż jest ten Jarski? — zapytał ks. Plisza.

— Młody chłopak, widać lekkomyślny i pusty, igraszka w ręku Saugera!

— Czy przypuszczasz, kapitanie, że hrabina istotnie wexel podpisała? — zapytał z indygnacją ksiądz Plisza.

— Albo podpis jest fałszywy, co jest złą sprawą, albo jest prawdziwy, co stokroć jest gorszą...

— Ależ na Boga, zkąd się podpis hrabiny dostał właśnie obok podpisu tego Jarskiego?

— Nie wiedząc o tém, poruszasz najdraźliwszą, najniebezpieczniejszą stronę całéj sprawy! — odparł Zyberg. W tém wszystkiém jest zawiązek strasznéj katastrofy... Jeżeli podpis hrabiny prawdziwy, a Rokicki dowie się o tém, natenczas niechaj im obojgu Bóg będzie litościw... Rokicki jest namiętnym w gniewie, a namiętność ta podwoi się znowu namiętnością, z jaką kocha swą żonę... Nie mogę przewidzieć coby się stało, ale stałoby się coś strasznego. Jeżeli podpis fałszywy, ten paniczyk Jarski zgubionym jest człowiekiem i pozostaje mu chyba los Antosia...

— Nie mów tego! — przerwał wyciągając ręce ksiądz Andrzej, jakby chciał odeprzeć myśl poruszoną przez Zyberga.

— Jarski jest kuzynem Rokickiego — ciągnął daléj Zyberg — ale to nie stanie zawadą jenerałowi. Znam go; nieugiętym jest w takich wypadkach. Postąpi z nim z żołnierską surowością. Odda go sądom. Gdyby się tak stało, to nieszczęśliwa matka Jarskiego, która w synie swym widzi jedyną nadzieję, jedyną dumę i jedyną pociechę, umarłaby od boleści...

— Więc ratujmy ich, kapitanie! — zawołał przerażony ksiądz Plisza. — Co robić, mów! Żądałeś pieniędzy, masz je tu... spiesz i ratuj ich!

Zyberg wziął pieniądze i przeliczywszy je, rzekł:

— Może nie będzie tyle potrzeba! Idę zaraz do gospody i pomówię z Saugerem!

Słowa ostatnie wymówił kapitan z groźnym naciskiem.

— Tylko spokojnie i bez gwałtów, mój drogi braciszku i niechaj ci Bóg pomoże! — rzekł łagodnym swym głosem ksiądz Plisza.

Zyberg ucałował ramię proboszcza i wybiegł na podwórze. Za chwilę już pędził na koniu w kierunku karczmy.

VI.

Nocna wyprawa.

Nad pożyciem małżeńskiém hr. Rokickich ciągle jeszcze rozwieszała się posępna i złowroga chmura. W sytuacji, która nastąpiła po scenie balowéj, a którą już dokładniéj określić usiłowaliśmy, nic się nie zmieniło. Między jenerałem a Adelą stanął niejako cień Oktawa. Kilka już razy Rokicki sam czynił krok pierwszy, aby rozjaśnić sytuację. Zarzucał sobie podejrzliwość, poczuwał się do winy, i żałował serdecznie, że wybuchem nieufności obraził Adelę. Takie wystąpienie jednak jenerała, zamiast położyć koniec dziwnie przykréj sytuacji, czyniły ją jeszcze przykrzejszą, jeszcze trudniejszą.

Adela zanadto była zajętą Oktawem, aby go przez przeciąg kilku miesięcy zapomnieć, a zanadto szlachetną i uczciwą, aby odegrać zręcznie komedję obłudną. Przepraszania jenerała zamiast ją uspakajać, rozdrażniały ją tylko i czyniły tém nieszczęśliwszą. Gdyby Rokicki był wystąpił jako małżonek obrażony, gdyby w niéj był widział kobiétę niewierną, Adela byłaby się znalazła w jaskrawszéj może, ale mniéj bolesnéj sytuacji.

Takie położenie dręczyło i nużyło do najwyższego stopnia nietylko Adelę ale i jenerała. Rokicki czuł, że to ostatnie nieporozumienie między nim a Adelą zupełnie innéj było natury, niż wszystkie poprzednie. Tamte były tylko nieporozumieniami, które po kilku wzajemnych słowach wymówki i pod wpływem niewinnych żartów Adeli wyjaśniały się zupełnie — ostatnie zajście było zagadką, któréj jenerał rozwiązać nie umiał, a które jak posępny upiór jaki stało ciągle między nim a Adelą...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TEORJE POLITYCZNE XVI WIEKU

skreślił

Dr. W. M. Olendzki.

I.

Teorje i pamfleta stronników Reformy.

(Ciąg dalszy.)

§. XX.

Wszystkie te idee republikańskie, znajdujące odgłos w różnych sferach życia, wysyłające swych przedstawicieli aż do tronu królewskiego, nigdzie tak potężnie, nigdzie z tak dobrą wiarą, z takim szlachetnym zapałem nie były wypowiedziane, jak w krótkim utworze Stefana de la Boëtie „Le Contre'un, czyli Discours de la Servitude volontaire", wydanym w 1578 r. — Zda mi się, iż nie znając nawet ówczesnych stosunków, każda szlachetna dusza z przyjemnością dziś jeszcze czytać może słowa pisane z młodzieńczą werwą 18to-letniego autora, nie biorąc mu za złe nawet téj namiętności i nieumiarkowania, jakie wiele ustępów dziełka jego znamionują. De la Boëtie był naocznym świadkiem, jak drobni tyrani licząc z balkonu swéj rezydencji głowy poddanych, cały ciężar ucisku i ohydnych prześladowań nad niemi rozpostarli, widział on codziennie po ulicach swego rodzinnego miasta Bordeaux stawiane rusztowania i ćwiertowanych lub wieszanych z woli króla patrjotów. Ta krew bez miary przelewana uderzyła mu do młodéj głowy, bryznęła na szlachetnie czującą duszę i de la Boëtie podniósł silny, może zbyt silny głos trybuna sprawiedliwości.

„Ten który was męczy ma tylko dwoje ócz, dwoje rąk i jeden kadłub, nie ma on nic więcéj jak każden najpodrzędniejszy nawet mieszkaniec naszych nieprzeliczonych siół i miast, nie ma on nic więcéj od was jak tylko przywilej rujnowania was, który mu sami dajecie. Zkądby on téż wziął tę massę szpiegowskich ócz, jeżelibyście mu sami takowych nie dali? Ręce któremi was bije, są również wasze własne! Zkądże jak nie od was bierze te nogi któremi was depcze? I tę władzę któréj nadużywa? Cóżby on był w stanie zrobić wam, gdybyście nie byli sami donosicielami łotra, który was rabuje, wspólnikami mordercy, ktory was zabija, zdrajcami waszych własnych interesów? Rzucacie w ziemię ziarno, aby on plon zbierał, napełniacie magazyny, aby on was okradał,

wychowujecie córki aby jego chuci zadawalniać, wychowujecie synów aby on miał siłę do wojny na waszą niekorzyść, aby miał sługi swéj woli, wykonawców swéj zemsty. Upadacie pod brzemieniem pracy podczas gdy on w miękkości sprosne prowadzi życie, osłabiacie się na to tylko, aby on mógł nałożyć na was jeszcze ciaśniejszą obróżę. — Z całéj téj nędzy, jakiéjby same bydlęta znosić nie chciały, możecie się uwolnić, lecz nie przez próbowanie uwolnienia się, ale\ przez silną wolę uwolnienia się. — Zróbcie to a zobaczycie jak kolos bez podstawy obali się i zgruchocze!" — Do uwolnienia się z pod hańbiącego jarzma la Boëtie nie wymaga wiele rzeczy, nie głosi on nawet żadnych spisków lub rewolucji, prosty dziecięcy umysł jego pozwala mu wierzyć, iż kraj będzie wolnym, jak skoro przestanie dobrowolnie służyć tyranowi. Tyran ten będzie zrujnowany, jak tylko dawać mu się przestanie, nic odbierać mu nawet nie trzeba. Woli tylko silnéj poczuciem miłości braterskiéj, opromienionéj czystością patrjotyzmu, wolnéj od prywaty i osobistych waśni; jedności odrodzonych w samowiedzy l.dzi, męztwa i stałości — oto hasło zmartwychwstania wydzierające się z piersi Boëtiusza, oto hasło powtarzane nieustannie tytanicznym głosem wszystkich jego rówieśników tak długo, aż chłód świata ciepłych nie ostudzi piersi, a brud codziennych walk życia czystéj harmonji nie sfałszuje. — Jesteśmy nietylko niewolnikami tyrana, ale niewolnikami zewnętrznéj formy, która jako taka coraz to gorzéj brudzić się musi, jesteśmy zatém czém być zasługujemy. Przeciw temu fatalizmowi nie poradzi bynajmniéj głos Boëtiusza i inne podobne mu brzmienia, głos bowiem taki jest tylko głosem mniejszości i niezrozumiałym dla grubych organów śpiewem łabędzim.

II.

Teorje stronnictwa katolickiego i pamfleta Jezuitów.

(Suarez. — Belarmin. — Wilhelm Rose. — Jan Bucher. — Jan Mariana.)

§. XXI.

Powiedzieliśmy już we wstępie, że przez cały szereg różnych zabiegów i czynności XVI wieku ciągnie się czerwona nić, wszystkiém rządzącéj namiętności religijnéj.

Wielki przewrot w kościele rozdwoił również politykę, rządził życiem prywatném, motywował wszelkie czyny, wyrabiał przekonania polityczne, tworzył partje, wywoływał wojny, dyktował traktata i wywołał nakoniec całą literaturę.

Na jakie rozdroża namiętność religijna wprowadziła autorów pism politycznych, jakim szałem opętała najznakomitsze nawet umysły, widzieliśmy w poprzednim rozdziale. Przystępując teraz do przeglądu dzieł pisarzy stronnictwa katolickiego, musimy przedewszystkiém powiedzieć, iż literatura ta w saméj sobie przedstawia dwa różne kierunki. — Z jednéj strony widzimy czysto spekulatywne głębokie teorje, wierne zasadom Tomasza z Aquino, z drugiéj zaś namiętne, zgrozą przejmujące deklamacje i utopje monarchomachów, tych nauczycieli zarówno Ravaillaca, jak Alby, Jakóba Clement i Gwizjuszów, jak i zdobywców Magdeburga. Z jednéj strony poznamy kierunek ostatnich przedstawicieli szkoły (Suarez, Belarmin), z drugiéj zaś politykę ligi (Rose, Bucher, Mariana)

§. XXII.

Dzieło Suareza z Grenady „Tractatus de legibus ac Deo legislatore" składa się z 10 ksiąg.

1) Traktuje o naturze prawa w ogólności, o jego przyczynach i skutkach.
2) O prawie odwieczném (bożém), o prawie natury i ludzkiém.
3) O prawie ludzkiém pozytywném (cywilném) w stosunku do natury ludzkiéj.
4) O prawie kanoniczném pozytywném.
5) O różnych gałęziach i różnicach prawa w szczególności zaś o prawie karném.
6) O interpretowauiu, przemianie i znoszeniu prawa.
7) O prawie zwyczajowém.
8) O prawie wyjątkowém i przywilejach.
9) O prawie bożém pozytywném i dyspensach.
10) Dalszy ciąg poprzedniéj księgi ze względem na nowe czasy i nowe dyspensa[1]).

Każda księga dzieli się jeszcze na około 20 rozdziałów, całe zaś dzieło zajmuje 700 stron stereotypowego druku in folio. Forma rezonowania jest najczyściéj syllogistyczną. Suarez przy każdém pytaniu przywodzi różn.. zdania uczonych za i przeciw i dopiéro sam rozstrzyga różnicę drogą zwykle pośrodkową, zsyłając się przytém nieustannie na św. Tomasza z Aquino, Kajetana, Soto, Torrecrematę, Vasqueza, Izydora Sewilskiego, Wincentego de Beauvais, na kanonistów i ojców kościoła. Dodawszy do tego niezmiernie suchy i ciężki styl, nieustanne powtarzanie się, zrobimy sobie z łatwością wyobrażenie, iż czytanie całego dzieła jest dziś prawie niepodobieństwem.

Dzieło to traktuje przeważnie teorję moralności i prawo. Zajmując się jednak pytaniem o prawach i obowiązkach władzy prawodawczéj, o legalności téj władzy, o różnych wewnętrznych stosunkach w państwie dotyka również Suarez polityki i przedmiotem naszéj uwagi być musi.

W rozdziale 1szym księgi 3ciéj stawia Suarez pytanie, czy między ludźmi istnieje prawna władza dla tworzenia rządzących niemi ustaw? Czyli, czy władza cywilna istnieje z prawa natury? Mówią iż nie, ponieważ człowiek rodzi się bezwarunkowo wolnym, wszelka władza zatém człowieka nad człowiekiem z prawa natury istnieć nie może i jest tyranją siły.

Na twierdzenie to odpowiada Suarez:

1) Człowiek jest zwierzęciem towarzyskiém (animal socialis), społeczeństwo zatém jest sferą jego życia.
2) Z natury społeczeństwa wychodzi potrzeba władzy.
3) Z prawa natury człowiek nie rodzi się jako już poddany władzy, lecz przynosi z sobą na świat zdolność poddać się takowéj.
4) Prawdą jest, że w wielu razach władza zaprowadzaną bywa siłą i tyranją, lecz tyranja nie jest istotą władzy.
5) Prawdą jest również, iż św. Augustyn mówi, że władza jest skutkiem grzechu, lecz mówiąc to, ma on na myśli tylko stosunek pana i niewolnika, nie zaś stosunek króla i poddanych.

Do kogoż należy tedy ta konieczna władza, do Boga, czy do jakiego pojedynczego człowieka, czy téż do całego ludzkiego towarzystwa? Pierwszą teorję, ten wyraz Teokracji i kanonistów w wiekach średnich, Jezuitów zaś i absolutystów w czasach nowych, uważa Suarez za niegodną uwzględnienia. Słowa glossy „panujący bierze władzę od Boga" znaczą, mówi on, iż panujący nie bierze władzy od papieża, nie zaś, iż jéj nie bierze od ludu. — Druga teorja reprezentująca zasady

[1]) Patrz: Hallam l. c. t. III. c. 4 str. 237, 259, 278 i i. Janet l. c. t. II. c. 3.

dziś już upadłego patrjarchalizmu[2]) dowodząca iż wszyscy panujący winni być uważani za synów Adama i spadkobierców jego władzy, jest przez Suareza również gruntownie obaloną. Adam, mówi on[3]), mógł mieć tylko władzę domową, ekonomiczną a ta jest z gruntu różną od władzy politycznéj. Państwo powstaje z połączenia się wielu familji, naczelnik więc jednéj familji naczelnikiem państwa być nie może, wreszcie w piśmie nawet nie znajdziemy nigdzie świadectwa, aby Bóg nadał Adamowi taką władzę. (Ciąg dalszy nastąpi.)

²) Z mocy téj teorji uzasadniał w XVII w. prawomocność nieograniczonéj władzy Filmer w dziele „Patrjarcha“ 1680 r. i Makenzie w „Jus regium“ 1684 r. — Przeciw tym dwom autorom skierował swe pociski Algernon Sidney w dziele „Discourses concerning governement“ 1698 r.

³) De Leg. Lib. II. c. 2. §. 3.

Korespondencja ze Lwowa.

Lwów 18 września 1871.

U nas od tygodnia już prawie ruch wielki. Sejm, a z nim razem zjazd liczny. Hotele pełne i posłów, i tych co na kurs gapjologji przybyli. Wiecie już z gazet sprawozdania szczegółowe z odbytych posiedzeń. Znacie nawet zapewne odcinki przycinkowe i Narodówki i Dziennika Polskiego (I. Lam) nie-dzielne. Wszystko to pominę. Wspomnę tylko o wrażeniu, jakie sejm na mnie sprawił i o różnych rzeczach (de omnibus rebus et nonnullis aliquis).

Otwarcie sejmu odbyło się świetnie. Poczet posłujących jakby w żałobnych, bo w czarnych kontuszach i żupanach, na głowie w Batorówkach z czaplemi piórami; szereg długich ubiorów duchownych ze czterma biskupami i metropolitami na czele; mazowieckie i ruskie sukmany poczciwych naszych wieśniaków, a w téj sto kilkadziesięcio-osobowéj grupie 3 tylko mundury rządowe (namiestnika, komisarza Bartmańskiego i jego sekretarza Zalewskiego, syna owego gubernatora podpisującego się Wacław z Olesia, który zbierał pieśni ludu polskiego i ruskiego — przyznacie że to marsz uroczysty ze świątyni pańskiéj do sali obradowéj. Sama komnata (gdzie się zwykle odbywają maskarady) z wejściem przez gmach teatralny, dość wewnątrz brudny, nie odpowiada ważności posiedzeń i powadze zgromadzenia, mającego wyrokować o losach kraju. Dla tego sejm obecny zamyśla nowy, oddzielny wznieść budynek. Dziennikarstwo radzi, aby tylko nie pod murami cytadeli. Dowcip dwustronny, jak wszystkie nasze galicyjskie dowcipy.

Cztéry pierwsze posiedzenia sejmowe (a właściwie 3 tylko, bo najpierwsze poświęcone było tylko aktowi inauguracyjnemu) zajmowały się wyłącznie wybieraniem członków do oddzielnych komisji, mających wypracowywać szczegółowe wnioski i projekta. Rzecz to właściwa i konieczna.

Na pierwszém posiedzeniu, przed samém zaczęciem, stał się fakcik następny. Dwóch młodych niemczyków (jedni mówią że to korespondenci do gazet zagranicznych*), drudzy, że tylko ciekawi widzowie) usiadło na galerji Iszéj w kapeluszach. Sekretarz, będący w środku sali, odezwał się głośno: „To sala sejmowa, nie żadna knajpa, proszę pamiętać!“ — i panowie półgłówki, okazali wtedy całą głowę, otwartą.

Wczoraj, jako w dzień świąteczny wolny od obrad, był u księcia Sapiehy, marszałka krajowego, wieczór proszony o godz. 8méj. Raz jeden, uczynił to ustępstwo marszałek sejmowy, że posłał bilety zapraszające do Rusinów po rusku. Wczoraj wszystkie karty z zaproszeniami były po polsku: to zdaje się dało powód księżom rusińskim, że nie wszyscy raczyli przybyć, chociaż był sam ich arcybiskup.

Szczerą, naukową mówiąc prawdę, nie mamy języka ruskiego, tylko narzecze. W prowincjach przez 100 lat będących pod zaborem moskiewskim, to narzecze przybrało nieco więcéj wyrazów rosyjskich (Podole, Wołyń, Ukraina, Czarna i Białaruś). Na Czerwonéj Rusi (w Haliczu) przemógł język polski. Jak więc mowa, któréj u nas Żydzi używają, nie jest językiem żydowskim, ani hebrajskim, tylko zepsutym żargonem niemiecko-izraelskim, tak i język rusiński, podobnież do żydowsko-niemieckiego, nie ma ani swojéj gramatyki, ani literatury, ani pewnych prawideł lexykograficznych, choć Hołowacki et consortes inaczéj chcą dowodzić. Podawane więc projekta Ławrowskiego do ugody, aby wszyscy urzędnicy umieli po rusku; aby każdy, zapytany po rusku, odpowiadał także po rusku; aby w szkołach, gdzie 3 części jest Rusinów, wykłady były po rusińsku; aby zamiast abecadła łacińskiego, przyjąć moskiewską grażdankę, (czyli głoski jakby chińskie, całéj Europie nieznane, oprócz jednym Moskalom); aby wszystkie spory tyczące się języka, nie rada szkolna lub pedagogicy wyżsi, prawdziwie uczeni, rozbierali, ale aby to wszystko ześrodkowywało się tylko w Maticy ruskiéj; aby... (nieskończylibyśmy dziś téj korespondencji, wszystkie wymagania tu przywodząc), te wszystkie, powtarzamy, zamiary, zupełnie podobne są do rozkazów rządowych, zmuszających na Litwie mówić wszystkim po rosyjsku. Co zaś najśmieszniejszego jest w tém wszystkiém, to używanie pomiędzy posłami ruskimi mowy polskiéj, kiedy się znajdują we własném kółku; używanie zaś w czasie sejmu nie narzecza rusko-galicyjskiego, lecz rusko-rosyjskiego, czyli po prostu mówiąc, moskiewskiego. Usta ich fałszywą wymową zdradzają wielość rubli idących tu na propagandę rosyjską. Gdyby się Rusini chcieli trzymać swoich ksiąg świętych i cerkiewnych, jedynéj literatury jaką mają, musieliby przy téj natarczywości mniemano-narodowéj, używać czcionek starosłowiańskich; tylko nielogicznie i niehistorycznie postępując, ale wyłącznie lgnąc magnetycznie do rubli srebrnych, mogą używać rosyjskiego pisma, którego nigdy żadna Ruś nie znała, tylko wymyśliła Moskwa, później przezwana Rosją.

Pamiętamy dobrze jak za panowania cesarza Mikołaja nie wolno było żadnemu pisarzowi polskiemu, nic moskiewskiego nazwać ruskiém, tylko urzędowie nazywać kazano rosyjskiém. Dziś systemat zmienił się. Chcąc wszystkie ziemie rusińskie przyciągnąć (bądź magnesem rubli, bądź gwałtem lub podstępem) do Rosji, samą Moskwę zwą Rusią; ba nawet Litwa i Ruś, to synonim, choć język litewski i żmujdzki, choć historja dzierżawy gedyminowskiéj i ziem ruskich, jest tak różna i daleka od Moskwy, jak od Gniezna lub Poznania do biegunów północnych lub Syberji! Ale to nic nie szkodzi. Ich płatni i czołobitni historycy, gotowi lada chwila dowodzić, że nasz Biały Orzeł wyleciawszy ze swego Gniazda uderzył się o hordy mongolsko-tatarskie, rozbił głowę na dwoje i zczerniał, o tę czerń brudną potrąciwszy się: z tego arcylogicznego dowodzenia wypadnie, że Polska i Moskwa, jak Litwa i Ruś, to wszystko jedno, to ruskie czyli rosyjskie.

W tę samą nieloiczność wpadają nasi Rusini, podsycani nie białém lecz brudném srebrem rosyjskiém.

*) Może z Pozenerki lub któréj z dwóch gazet szląskich; przynajmniéj, po ich sposobie traktowania spraw polskich, można podejrzywać o to.

Nie chcą się uczyć rozwagi z dotykalnych i aż nadto do serca i rozumu mówiących przykładów jakie mają w Polsce; do nich więcéj przemawiają ruble, niż rozum, niż przyszłość smutna!

Spodziewać się więc należy, że magnes kruszcowy ciągnąć będzie ku północy Rusinów i w dzisiejszym sejmie! Oby tak nie było!

Wszystko, cośmy dotąd napisali o Rusinach i języku ruskim, jest pogadanką będącą w ustach powszechności. Wie każdy, bo słyszy, że dzwonią, ale nie wie w jakim kościele. Choć zasada jest prawdziwą, rezonowania często nie na zbyt prawdziwych oparte są podstawach. Znając ten pewnik towarzyski, jeden z tutejszych literatów, dobrze już zasłużony sprawie rusińskiéj, wydał rozprawę, mającą służyć za „podstawę do zgody w narodzie.“ Tytuł jéj: „Gente Ruthenus, natione Polonus.“

Autor przecierpiał ongi długie więzienie austrjackie za sprawę ludu i narodu; pisał i drukował piosenki ruskie, i był znanym dawniéj propagatorem czynu, dziś zszedł na drogę propagandy literackiéj. Jego dwutomikowe Listy popularne, poświęcone szewcowi, kowalom i rolnikowi, zyskały wdzięczność Towarzystwa Gwiazdy i powszechną wziętość. Jego więc słowom powinni wierzyć Rusini.

Autor na drodze czysto-historycznéj opierając się na ich kronikarzu Nestorze, na Konstantym Porfirogenecie, i innych, dowodzi, że jak we francuskiéj Normandji nie ma Normanów, we włoskiéj Lombardji nie ma Longobardów, tak w naszéj Rusi nie ma plemienia Rusów, bo to było plemię nie słowiańskie, ale skandynawskie.

Kiedy Mieczysław I w r. 965 przyjął chrzest obrządku łacińskiego, zaś Włodzimierz W. w r. 991 według obrządku greckiego, wtedy obie strony, zarówno wówczas (jak i dziś jeszcze) katolickie, uznawały zwierzchnictwo Rzymu. Wewnętrzna właściwość kościołów nadawała nieco odrębną cechę wyznawcom, łączącym sprawy narodowe ze sprawą kościoła i sumienia. Językiem liturgicznym u nas był łaciński, na Rusi zaś sławiański, zepsuty greckim i bułgarskim.

„Gdy w Polsce“ — powiada autor — „zostawiony był język swemu normalnemu rozwojowi i postępowi wraz z postępem nauki; na Rusi zmartwiał przykuty do nietykalności ksiąg świętych. Różne więc były nazwiska państw, różna natura władzy i różne kościoły... chociaż dawniéj równe sobie były językiem, religją i zwyczajami. W taki tylko sposób, przez okoliczności wypadkowe, wyrobiły się odcienia szeroko rozpostartego szczepu od Wisły do Dniepru.“

Wiadome przejścia dziejowe, krótko, zwięźle lecz dobitnie autor przebiega, przywodząc dosłownie 2 artykuły Unji, z aktu wiadomego, w którym rzeczono: iż „tę ziemię, jako własny a prawdziwy członek, ku pierwszemu a własnemu ciału a głowie, ze wszystkiemi jéj grodami... w tytuł koronny przywracamy i ku jednemu ciału wracamy, wszczepiamy, wpajamy, czasy wiecznemi.“

Kiedy Ukrainie i Wołyniowi Unja dawała zapewnienie utrzymania Statutu litewskiego i pisma słowiańskiego (nie graždanki), wtedy Ruś czerwona, dzisiejsza halicka kraina, wcale tego nie żądała, owszém przeciwnie, stała z resztą Polski, jako z nią zlana prowincja, po stronie Korony, gwarantując Rusi zabużańskiéj świeżo przyznane przywileje. Kiedy po Katarzynie II jéj następcy żądali gwałtem Rusi, nigdy nie mieli pretensji do Galicji ruskiéj. Nawet owe sławne bunty kozacze, nie wspominają ani słówka o Rusi czerwonéj, również jak układy perejasławskie, hadziackie i t. p.

W rozbiorze nieszczęśliwym przed stu laty, Austrja wzięła Ruś czerwoną jako prowincję polską i późniéj na kongresie 1815 r. wszystkie jéj zobowiązania uczynione były dla ziemi polskiéj, pod rządem jéj będącéj. O Rusi tam nie masz ani słówka.

W tym duchu i dzisiaj Wiedeń odpowiedział, że nie uznaje Rusi; że zna tylko Galicję. Nieporozumienia tyczące się języka, uważa za miejscowe — i pragnie aby to po domowemu rozstrzygniętém było.

Rząd austrjacki byłby bardzo słabym, gdyby nie wiedział, że Moskwa podnosi sprawę ruską w Galicji dla własnego interesu, czysto politycznego; że najsilniejszymi jéj działaczami są pieniądze, zjazdy na wystawę niby to etnograficzną, ks. Kuziemski, Sto-Jurcy i księża w ogóle uniccy, którzy nie chcą tego widzieć, że Rosja po zaborze gwałtem już zmieniła unitów na schizmatyków i biedny lud ruski chce zlać z moskiewskim za pomocą szkół i kościoła.

Z tego, aż nadto bijącego w oczy dowodu, wnosi czcigodny autor broszury, że wolność powinna być czujną, roztropną i stawić z gwarancją swobód, środki zabezpieczenia całości narodowéj. Wynik rozprawy i dowodzeń następny:

„Powinniśmy starać się o to, ażeby języka ruskiego nie moskwicono; ażeby dla pism i książek rosyjskich*) zamknąć do nas drogę. Pierwszym, może jedynym do tego materjalnym środkiem, jest wprowadzenie alfabetu łacińskiego. W domach, cerkwiach i zakładach prywatnych naród wolny nie prowadzi kontrolli; ale w urzędach państwowych i autonomicznych, oraz w szkołach publicznych, powinien być do pisma i druków ruskich wprowadzony alfabet łaciński. Tym sposobem zrobią się pisma i książki rosyjskie niedostępne dla ogółu, a język ludu naszego, w naturalnym rozwoju swoim, ulegnie przeobrażeniu obcemu przez takie oderwanie go od spólnictwa formy i od wpływu literatury rosyjskiéj. Środek ten jest konieczny. Kołysanie się w półśrodkach dogadzać może chwilowo wszystkim interesom drobiazgowym, ostatecznie zaś zgubić musi interesa ogółu stanowczo... Zaprowadzenie graždanki, która jest tylko wygładzoną kirylicą, przygotowuje grunt pod zasiew moskiewszczyzny; rozszerza carstwo w granice nasze, w granice państwa liberalnego Austrji. Jeżeli unici miłują wolność, i przez uczucie sprawiedliwości uznają prawdę historyczną, na którą się powołujemy, a nie sprzyjają dalszym przywłaszczeniom Rosji, chętnie uznają słuszność tych warunków za koncesje, jakich w żadném najliberalniejszém państwie Europy, dla różnic językowych nie uczyniono, bo wszędzie językiem urzędowym i naukowym jest język klasy liczniejszéj, oświeconéj w narodzie, pomimo różnic językowych, jakie się między ludem znajdują.“

Czy p. Ławrowski i sejm zgadzają się na ten wniosek? nie wiemy — ale zgodzićby się powinni. Pierwszy, po odprawie z Wiednia, uznał teraz drogę zgody za rzecz jedynie możliwą i skuteczną: czy nią pójdzie?... Pan Bóg raczy wiedzieć. Kwestji téj dotąd jeszcze nie wniesiono na sejmie.

Wśród zjazdu obecnego, uderza w oczy wiele postaci przybyłych z grona literatów i artystów. Do nich należą: Bejer Karol, Brandt, Ciemniewski, Kossak, (Jeż) Miłkowski, Mosbach August, Podczaszyński, nie licząc w to całego pocztu krakowskiego, zasiadającego na ławach obradujących, a do którego należą: Chrzanowski, Kremer rektor, Majer prezes Tow. Nauk. Krak., Szujski, Tarnowski prof. i t. d. Dziś przybył ks. Jerzy Lubomirski, bo w Zakładzie narodowym imienia Ossolińskich otwarto wystawę z darów tegorocznych. Wkrótce będzie i sprawozdanie publiczne. Na wystawie urządzonéj przez p. Pawłowicza dominują drzwi kolosalne z męką św. Wojciecha, których odtworzeniem zajmował się Bejer z Warszawy, oraz chromolitografje skarbca wiedeń-

*) Wiadomo, że propaganda moskiewska mnóstwo ksiąg swoich nadsyła — i że matica lwowska mnóstwo ksiąg swych drukuje pismem moskiewskiém (graždanką) i dla propagandy za bardzo niskie ceny puszcza je w obieg. Jest to wpływ najniebezpieczniejszy i wynik zeń najgorszy.

skiego. Przy sypaniu kopca na wysokim zamku zebrano 2 szafy wykopalisk nibyto archeologicznych, ale większą połowę z tego wartoby poddać nader surowéj krytyce. T. Z.

TRZY SPOTKANIA.

(Z Turgenjewa).

(Ciąg dalszy.)

Po chwili zamknęła okno, — niedługo potém zgasło światło w domu. Oddaliłem się — nie uszedłem jeszcze jednak pół wiorsty, gdy po za sobą usłyszałem tętent podkowy... poczém jeździec na pysznym karym koniu przemknął przedemną galopem, obejrzał się na mnie, ale tak szybko, że ledwie zdołałem dostrzedz nos orli i piękny wąs pod naciśniętą czapką, skręcił na prawo i zniknął za drzewami lasu. „Więc to tak“ — pomyślałem, a serce szczególniejszém uderzyło mi uczuciem. Zdawało mi się, żem go poznał: postać jego istotnie przypominała mężczyznę, którego zobaczyłem owéj nocy u furtki w Sorrento. W pół godziny byłem w Glinnoje u mego gospodarza, zbudziłem go, zacząłem rozpytywać kto to przebywa w sąsiednich dobrach. Z trudnością otrzymałem odpowiedź, że to właścicielki przybyły.

— Co za właścicielki? spytałem niecierpliwie.

— Oczywiście — państwo, wymówił wolno.

— Ale co za państwo?

— Oczywiście — tacy jak zwykle są państwo.

— Czy to są Rosjanki?

— A cóżby miało być — przecież Rosjanki.

— Nie cudzoziemki?

— Jak?

— Dawno już tu są?

— Naturalnie że niedawno.

— Jak długo tu pozostaną?

— Tak, — to nie wiadomo.

— Czy są bogate?

— Tak, — to nie wiadomo. Może są bogate.

— Czy nie przyjechał z niemi żaden mężczyzna?

— Mężczyzna, pan?

— Tak, pan!

Wieśniak westchnął.

— O mój może! — rzekł poziewając. — N... nie, żaden... pan... zdaje mi się... że żaden pan nie przyjechał. Zresztą to nie wiadomo, dodał nagle.

— Jacy tu są w około sąsiedzi?

— Jacy sąsiedzi? Oczywiście — różni.

— Różni! Ale jak się nazywają?

— Kto, właścicielki téj wsi? czy sąsiedzi?

— Właścicielki.

Wieśniak znów westchnął.

— Jak się nazywają? mruknął. — Bóg to wié jak się nazywają! Starsza, zdaje mi się, Anna Teodorówna, a druga... Jak ta się nazywa, tak, tego nie wiem.

— To przecież powiedz przynajmniéj jéj nazwisko.

— Nazwisko rodzinne?

— Tak.

— Nazwisko... Tak, — tego właściwie nie wiem.

— Czy one są młode?

— Nie, to nie.

— Ale w jakim wieku?

— No, młodsza może mieć przeszło czterdzieści.

— Kłamiesz pewnie?

Wieśniak umilkł.

— O cóż chodzi. — Pan o tém wiesz lepiéj. Nam to niewiadomo.

I rzucił się na posłanie. Pozostawiłem go w spokoju, zakląłem i udałem się na spoczynek.

Długo nie mogłem zasnąć. „Kto ona jest?“ pytałem siebie bezprzestannie. — „Rosjanka? Jeżeli jest Rosjanką, czemuż mówi po włosku?... Gospodarz powiada, że ona już nie młoda... To kłamstwo... Kto jest ów szczęśliwy?... I bądź tu mądrym... Niepodobna... Ależ jak dziwny przypadek? Dwa razy, któżby mógł pomyśleć!... Bądź co bądź jednak muszę się dowiedzieć kto ona i co ją tu sprowadziło...“ Takiemi bez związku, oderwanemi myślami niepokojony, późno dopiéro usnąłem i dziwne sny miałem téj nocy. Źle też ją całą przespałem i przed wschodem słońca byłem już na nogach. Ubrawszy się szybko i przerzuciwszy strzelbę przez ramie udałem się prostą drogą ku dworowi. Niecierpliwość moja była tak wielką, że równo z jutrzenką stałem już przed bramą ogrodu... Naraz zaskrzypiała lekko furtka, otwarła się a na jéj progu stanął stary, znany nam już Łukjanicz. Twarz jego długa z rozrzuconym nieczesanym włosem wydała mi się więcéj niż zwykle ponurą i gniewną. Z niemałém zdziwieniem popatrzał na mnie i zrobił ruch, jakby natychmiast chciał zamknąć furtkę.

— Mój kochany, mój kochany! wołałem nagląco.

— Czegóż pan sobie życzysz tak rano? odparł wolno i bezdźwięcznie.

— Powiedz mi, proszę cię, czy to dziedziczka wasza przybyła?

Łukjanicz milczał.

— Przybyła, rzekł po chwili.

— Sama?

— Z siostrą.

— Byli u was wczoraj jacy goście?

— Nikt nie był.

I pociągnął furtkę ku sobie.

— Czekaj, czekaj mój kochany... zrób mi tę grzeczność...

Łukjanicz zakaszlał i wstrząsł się od zimna.

— Ale czegóż pan sobie życzysz?

— Powiedz mi, proszę cię, w jakim wieku jest twoja pani?

Łukjanicz spojrzał na mnie nieufnie.

— W jakim wieku? Tego nie wiem. Przeszło czterdzieści lat będzie jednak miała.

— Przeszło czterdzieści! No, a jéj siostra?

— I ta pewnie ma już około czterdziestki.

— Czy podobna! Jestże ona piękną?

— Kto, siostra?

— Tak, siostra.

Łukjanicz się skrzywił.

— Nie wiem jak się tam komu podoba. Mojém zdaniem nie jest piękną.

— Jak to rozumiesz?

— Tak, niepozorna. Trochę już zwiędła.

— Tak, tak, i oprócz nich nikt inny do was nie przyjechał?

— Nikt, a któż jeszcze miał przyjeżdżać?

— Ależ to niepodobieństwo!... Ja...

— Co, panie kochany, tym sposobem, jak widzę, nie prędko ukończylibyśmy rozmowę, odparł gniewnie stary. — A to zimno!

— Czekajże, czekaj...

Ale stary zniknął już za furtką.

Nie dałem przecież za wygraną i bądź co bądź postanowiłem dojść prawdy.

We wsi dowiedziałem się od dwóch wieśniaków idących do roboty wszystkiego, czego się od nich dowiedzieć tylko mogłem, to jest, że dwór jak również wieś nieopodal leżąca nosi nazwę Michajłowskoje, że należy do wdowy po majorze, Anny Teodorówny Szlikow i jéj siostry Pelagji Teodorówny Badajew, która jest dotąd panną; że obie są już niemłode, majętne, w domu nie mieszkają niemal wcale, wyjeżdżają często za granicę i że właśnie niedawno temu Anna Teodorówna z siostrą przyjechały z Moskwy... Ta ostatnia wiadomość dała mi dużo do myślenia. Niepodobieństwem było aby i tym wieśniakom nakazywano milczenie przed obcymi. Aby zaś czterdziestopięcio-letnia Anna Teodorówna i owa zachwycająca kobiéta którą wczoraj widziałem stanowiły jedną postać — przypuszczenie to wydało mi się niepodobieństwem. I Pelagja Teodorówna, wedle opisu, nie odznaczała się pięknością, a potém na samą myśl tylko, że owa kobiéta, którą ujrzałem w Sorrento miała się nazywać Pelagją i w dodatku jeszcze Badajew, pomimowolnie musiałem ściągnąć ramionami i rozśmiać się szyderczo. A przecież, myślałem, wczoraj widziałem ją w tym domu... widziałem własnemi oczyma. Rozstrojony, gorżki a mimo to jeszcze bardziéj utwierdzony w mém postanowieniu dojścia prawdy, w pierwszéj chwili chciałem zaraz zwrócić się znów ku dworowi... spojrzawszy jednak na zegarek, który wskazywał dopiéro szóstą, postanowiłem czekać. We dworze prawdopodobnie spali jeszcze wszyscy...

Wszedłem w zarośla dotykające lasu. Nagle stanąłem jak wryty, las, w który się zapuściłem był gęsty i dziki, tak że z trudnością musiałem się przedzierać wśród jego gałęzi, niedaleko jednak od miejsca w którém stanąłem wiodła kręta droga leśna, a nią jechali wolno, tuż obok siebie... moja piękna nieznajoma i ów mężczyzna, którego wczoraj wieczorem spotkałem; poznałem go po profilu, który mi wczoraj mignął i po wąsie. Jechali wolno w milczeniu trzymając się za ręce; ich konie ledwie się poruszały, leniwie z jednéj strony drogi na drugą przechodząc, malowniczo wyciągnąwszy długie szyje. Kiedy ochłonąłem z pierwszego przestrachu... istotnie, był to przestrach: innéj nazwy nie umiałbym dać temu uczuciu, które nagle mną owładło... utkwiłem wzrok mój w jéj twarzy. Jakże była piękną! jak ponętnie rysowała mi się jéj postać na tém tle szmaragdowém zieleni! Lekkie cienie i smugi łagodnego światła przesuwały się na przemiany po jéj cudnéj, nieco zgiętéj postaci, po długiém, szarém ubraniu, po jéj blado-różowéj twarzy i czarnych lśniących włosach, które w ciężkich splotach wydobywały się z pod małego niskiego kapelusika. Jakże jednak oddam ten wyraz najzupełniejszego, namiętnego, — namiętnego aż do zupełnego oniemienia szczęścia, które wiało z jéj rysów! Głowa jéj zdawała się uginać pod ciężarem tego szczęścia; złote, wilgotne, błyskawiczne iskierki tryskały z jéj ócz ciemnych, przysłonionych nawpół spuszczonemi rzęsami. Nic nie widziały te szczęśliwe oczy; — niewinny uśmiech dziecka — uśmiech najwyższéj radości igrał na jéj ustach; zdawało się jakby nadmiar szczęścia nieco znużył i złamał ją zarazem jak kwiat rozkwitły, co czasem własną łamie łodygę; — obie jéj ręce spoczywały bezsilne: jedna w uścisku mężczyzny, który obok niéj jechał, druga na siodle. Miałem dość czasu wyryć sobie w pamięci głęboko jéj rysy — ale téż i twarz jéj towarzysza... Był to piękny, wspaniały mężczyzna; typ jego twarzy nie był rosyjskim. Patrzał na nią śmiało, wesoło i nie bez pewnéj dumy, o ile to mogłem dostrzedz. Ten niegodziwiec rozkoszował się jéj widokiem, i był wielce z siebie zadowolniony, nie dość wzruszony, nie dostrojony do kamertonu téj chwili, tak, nie dość miękki... Któryż bo człowiek zasługuje na takie uczucie... Muszę przyznać, dziwnie mu zazdrościłem!... W téj chwili jeźdzcy zrównali się ze mną... pies mój rzucił się na drogę szczekając... Nieznajoma zadrżała, szybko obejrzała się w około i, spostrzegłszy mnie, uderzyła konia szpicrutą po szyi. Zwierzę parsknęło, wspięło się, potém wyciągnąwszy naprzód obie nogi, puściło się z miejsca galopem... Mężczyzna wspiął ostrogą swego karego, a gdy w parę minut potém dotarłem drogą do krawędzi lasu, widziałem ich oboje w błękitnéj mgle oddalenia pochylonych na siodłach i czwałujących malowniczo przez pola... nie jechali jednak w stronę dworu. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Wycieczka do Saskiéj Szwajcarji

przez

Hr. na Lodowéj Turni.

(Dalszy ciąg).

Jak na zawołanie zjawił się przed nami usłużny kelner we fraku, który stojąc w sieni już dawno nas miał na oku. Skłoniwszy się grzecznie zapytał:

— Czy panowie życzycie sobie zobaczyć łaskawie wodospad?

Przypomniał mi się zaraz złowrogo ów nieszczęsny wodospad w Amselgrund.

— Tak jest! — odrzekłem — właśnie chcieliśmy się spytać o drogę do niego.

— Ach! — on tu jest zaraz oto — i uśmiechając się wskazał ręką na lewo.

Spojrzeliśmy uważniéj w kierunku jego palca wskazującego. I rzeczywiście... ależ o nieba!... jakie rozczarowanie!... Słów mi nie staje na wyrażenie zgrozy i oburzenia, które mnie na widok tego wodospadu ogarnęło. Nie wiedziałem już wreszcie, czy gniewać się czy śmiać!...

Pomiędzy restauracją a stajnią przypierającą do stromego wzgórza widać było część ściany tegoż wzgórza. W tém właśnie miejscu miał swoje ujście poprzeczny parów, którego dla gęsto rosnących świerków na pierwszy rzut oka nie było można dojrzeć. Otóż z ujścia tego parowu jakoby z rynny umieszczonéj między dwoma stykającemi się dachami, sączyło kroplami po dwóch czy trzech kamieniach kilka nitek wody — zupełnie jak tam, z tą tylko różnicą, że wysokość tutaj była może o łokieć większą.

— To ma być wodospad! — zawołał oburzony Tadeusz i cofnął się o krok w tył załamując spuszczone ręce.

— Tak jest! — odrzekł kelner. — To jest wielki lichtenhajnski wodospad. Czy chcecie panowie go widzieć?

Słowo w słowo jak tam!

— A toć go widzimy — rzekł do żywego dotknięty Tadeusz — macie się téż z czém chwalić do djabła!...

— Ale wzmocniony!... — rzekł nieśmiało kelner i już chciał chwytać za drążek (znowu jak tam!!).

— Czy my to dzieci, czy Liliputy, żebyście nas takiemi błazeństwy bawili — zawołał Tadeusz z uniesieniem, a klnąc na czém świat stoi, całą Saską Szwaj-

carję, kazał podać do ogrodowéj altany wina, by wypić za zdrowie tego, jak mówił, głupca, który śmiał tę mizerotę nazwać bezczelnie na drogowskazie: Grosser Wasserfall.

Zwinny kelner poskoczył za rozkazem, a myśmy tymczasem przypatrywali się jeszcze szczegółowo téj najnędzniejszéj pod słońcem karykaturze wodospadu. Na górnym kamieniu, z którego woda ściekała, było umieszczone drewniane koryto wystające naprzód może na łokieć, przez które w razie podniesienia stawidła woda spada. To wystające koryto jako zupełny kontrast naturalnego wodospadu najbardziéj nas raziło. Ale nie napróżno ono tam było! Przeznaczeniem jego jest spełniać wielką ideę!... Pierwszy bowiem przemysłowiec, co tego wodospadu chciał użyć do wyzyskiwania turystów musiał coś słyszeć o têm, że pod jednym bocznym łukiem Niagary można chodzić bezpiecznie. Otóż chciał i tutaj stworzyć coś podobnego. Na lewo więc zrobił sztuczną grotę z kamieni, do niéj teraz wprowadzają podróżnych, rozumie się za pieniądze, i wtedy podnoszą stawidło, a tak woda z owego wystającego koryta spada w łuku na ziemię, sprawiając naiwnemu turyście tę roskosz, że jest pod przezroczystą gazą katarakty. — Szczęśliwi turyści! — pomyślałem sobie — bodajto przestawać na małém!

— Powiedz mi — spytał udobruchany już Tadeusz, gdyśmy w ogrodowéj altance siedzieli przy befsztyku i winie — powiedz mi, czy mogą być ludzie tak ograniczeni, którzy ten — Boże odpuść! — wodospad, uważają na serjo za wspaniałe dzieło natury?

— A jużcić muszą być — odrzekłem — bo inaczéj nie stałaby tu tak porządna oberża z ogródkiem i wszelką wygodą. Ten właśnie wodospad nadaje jéj wzięcie i chwałą otacza: widzisz przecie jéj dumny napis: Restauration zum Wasserfall; nawet masz oto na słupie kulę, byś w jéj zwierciedle raz jeszcze mógł się uraczyć widokiem tego czarującego wodospadu. A jeśli ci mało raz i drugi spojrzeć i trudno z nim rozłączyć, możesz tu nawet zamieszkać dłużéj, bo oto na drzwiach wisi tablica: Hier sind Logis zu vermiethen. Niedostatku się nie lękaj, bo spojrzyj tylko daléj: po obudwu stronach drzwi wiszą napisy: na jednym: Frischer Maitrank, na drugim: Frische Forellen. — Wnioskując z wielkiéj ilości ławek można przypuszczać, że ten sławetny wodospad wielu ma amatorów i stawidło pewnie często w robocie.

— Ale cóż pocznie właściciel, gdy przez częste pokazywanie wody mu zabraknie?

— Ha! poprosi grzecznie gości o cierpliwość, aż się znów wody uzbiera, a tymczasem może każe zanieść kilka konwi na górę

— Co za gorzka ironja i bezczelne przedrzéźnianie natury!... I są ludzie, którzy w prostocie ducha podziwiają te komedje; może nawet Polacy niektórzy!... dodał z ciężkiém westchnieniem i zacisnął zęby.

— Nie godzi się tak źle przypuszczać — rzekłem — chociaż niestety!... wszystko to być może. Pamiętasz Alfreda w Kościeliskiéj dolinie?

— Ach! on żartował! teraz widzę, że chciał nas tylko drażnić; zresztą on tylko skały tutejsze wychwalał, którym nie można ująć piękności, chociaż nudzą wreszcie swą jednostajnością. Ależ co za brak naszych stawów, potoków, wodospadów!... Mój Boże! gdybyż tu była n. p. taka Siklawa nasza 150′ wysoka, któréj grzmot całą dolinę Roztoki rozgłośném echem napełnia, a pewnie by tu całe Niemcy pielgrzymowały jak Turcy do Mekki! Pewnieby tu zamiast jednéj oberży rozsiadło się miasto całe o kilkudziesięciu tysiącach mieszkańców a wszędzie po górach stałyby drogowskazy z napisem: nach dem riesigen saechsischen Niagarafalle! A u nas ledwie setny wie, że są gdzieś Tatry na świecie, a tysiączny, że w nich Siklawa wspaniała!

— Nie rozpaczaj — przerwałem — i miejmy nadzieję, że i nasze Tatry doczekają się kiedyś należnego uznania i rozgłosu po świecie.

— Tak i ja się spodziewam, ale kiedyż to nastąpi? Podobno wtedy dopiéro, gdy obcy przybysze w nich gospodarzyć zaczną!

Wypocząwszy nieco, ruszyliśmy w dalszy pochód. Po widzeniu atoli tego „wielkiego wodospadu“ straciliśmy prawie całkiém interes dla Saskiéj Szwajcarji. Nie darmo mówi przysłowie: śmieszność zabija! przekonaliśmy się, że nietylko człowieka, ale i naturę. Odtąd straciła téż Saska Szwajcarja cały swój urok, wydając się nam jakąś potworną karykaturą i przedrzéźnianiem gór rzeczywistych.

Za wodospadem niedaleko oddziela się ścieżka od drogi a przeskakując strumień po mostku wzywa nas drogowskazem, byśmy się nią do Kuhstall udali. Skręciliśmy więc za nią w prawo, a przeszedłszy w poprzek dolinę, piąć się zaczęliśmy na lesiste wzgórze na przeciwnéj stronie leżące. Po półgodzinnym śród lasu pochodzie coraz wyżéj i wyżéj stanęliśmy dosyć niespodziewanie przed kilku hotelami.

— Musi tu coś być, kiedy tu stoją hotele — zauważył Tadeusz.

Jakoż niebawem po kilku zakrętach ścieżki pośród świerków ujrzeliśmy się nagle przed osobliwą bramą. Jest to ogromna bryła skalista, a w niéj przy ziemi otwór na 20 stóp wysoki, podobny do tunelu. Otóż to jest Kuhstall. Czemu się to miejsce tak nieestetycznie na ywa, trudno odgadnąć. Baedeker się domyśla, że snać dawnemi czasy śród wojen, chowali się tutaj mieszkańcy z dobytkiem swoim. Choć nazwa prozaiczna, nie lękaj się wszakże chodzić po téj oborze, czyściutko tu bowiem umieciono i grubo piaskiem wysypano; są tu także ławeczki do odpoczynku byś mógł sobie wygodnie popatrzeć na skaliste pogarbione i poszczerbione sklepienie. Ale to wszystko bagatela! — chodź na próg bramy po drugiéj stronie i spojrzyj przed siebie: przepaść niezmierna znowu się odsłania przed tobą! Jestto dolina Habichtsgrund ciągnąca się w poprzek przed tobą, cała świerkami najeżona, na wpół zamglona, aż strach cię bierze patrzyć na nią!... Szczęściem drewniana z żerdzi barjera chroni cię od wszelkich myśli niebezpiecznych, a zresztą dosyć cię tu już nastraszono przepaściami, więc téż już i zobojętniałeś na ich grozę.

Woleliśmy też wejść na szczyt owéj bramy kamiennéj nie dla osobliwego widoku, lecz dla wejścia niezwykłego. Wązką bowiem szparą, że człowiek ledwie przecisnąć się może pomiędzy dwoma pionowemi skałami, jak ściana gładkiemi, wstępuje się po 80 drewnianych schodach na płaskie sklepienie bramy, zkąd znowu po dosyć wygodnych lecz krętych stopniach spuścić się można na drugą stronę. I otóż cała zabawka i osobliwość. Ale byłbym jeszcze o jednéj rzadkości zapomniał, a przecież drewniana tablica zawieszona na wstępie do bramy usilnie nas tam zaprasza (rozumie się w języku niemieckim):

„Piękna i romantycznie położona baszta zamkowa (o 10 minut drogi od hoteli odległa) poleca się każdemu turyście jako punkt godny widzenia.

Jest tam także ustawiona camera obscura, w któréj się cała okolica niby żyjący obraz w uderzający sposób odzwierciedla.

Z obok położoną restauracją poleca się łaskawym względom

Moritz Wiedemann.“

Mimo tak ponętnego zaproszenia nie chciało się nam fatygować na ową romantyczną wieżę, a têm mniéj zajrzeć do kamery mając naturę w oryginale przed sobą.

Spuściliśmy się zatém po schodach do owego Habichtsgrund'u, a przeszedłszy go w poprzek znowu dźwi-

gać się trzeba było zwolna pod górę. Począwszy od Kuhstall idzie się ciągle lasem z małemi tylko przerwami. Tu i owdzie odkrywają się na lewo znowu przepaście urwiste zawsze téjże saméj fizjognomji: monotonne i martwe. Nie dziw więc, że nam się podróż w téj części dosyć nudną wydała. Celem naszym obecnie był najznaczniejszy szczyt Saskiéj Szwajcarji, wspomniany już poprzednio, Grosser Winterberg 1721' nad poziom morza wzniesiony. Wysokość więc jego, jak widać, wcale nie zastraszająca. Ale sądziłbyś może że za to co do formy skał będzie to zapewne arcydzieło Saskiéj Szwajcarji? Niestety! szczyt ten wyglądał wcale nie groźno, lasem świerkowym okryty, bochenkowatego kształtu jak pierwsza lepsza góra w Beskidzie, rozumie się znacznie niższy. Gdzież mu się dopiéro równać z którymkolwiek choćby najpośledniejszym z wierchów tatrzańskich nie mówię już co do wielkości, ale nawet co do formy! Tam podarte, poszarpane te wierchy niebotyczne, śniegami błyszczące, przejmujące cię trwogą i dreszczem, gdy ci przyjdzie myśl na nie się drapać — tutaj łagodny pagórek laskiem okryty, na czubku wieża z hotelem uśmiecha się do ciebie i zaprasza na piwo.

Jednostajność drogi lesistéj przerwał nam widok oddziału żołnierzy biwakujących na wykarczowaném miejscu. Snać niedawno przybyli, bo dopiéro się zaczęli urządzać: jedni okopywali ogniska, drudzy rąbali drzewo, inni przygotowywali jadło, reszta leżała na murawie paląc fajki: gwar i śmiech rozlegał się głośno. Dwóch oficerów rozdzielało butelki z piwem. Po bliższém przypatrzeniu się poznaliśmy, że to nie Sasi lecz Prusacy, prawdopodobnie z twierdzy Koenigstein, która jak wiadomo po wojnie austrjacko-pruskiéj otrzymała załogę mięszaną.

Odwróciwszy się od tego widoku szliśmy dalej wolno pod górę znużeni nie tak drogą, bo tu wszędzie idzie się ścieżką żwirową jak w parku, ale raczéj upałem nieznośnym. Szczęściem schroniliśmy się wkrótce do cienistego lasu, ale za to ścieżka tém zuchwaléj się w górę podniosła przyczyniając nam znoju. Długoż tego będzie? pomyślałem sobie. Ale otóż rząd saski zsyła nam pociechę: do przydrożnego graba przybita biała ręka drewniana, na niéj napis wyrazisty już zdala ci głosi radosną nowinę: Nach dem grossen Winterberge nur 10 Minuten! Ażebyś zaś czasem nie wątpił o prawdzie téj tak pożądanéj wiadomości, masz na odwrotnéj stronie jeszcze raz toż samo stanowcze zapewnienie. Rzeczywiście była to prawda ewangeliczna. Spojrzawszy bowiem na zegarek szliśmy krokiem miarowym i oto punkt po 10 minutach ujrzeliśmy się na szczycie Winterbergu.

Co za widok rozległy odsłania się twym oczom na wszystkie strony świata — tak pomyślisz zapewne w téj chwili. Otóż przeciwnie: stojąc na tym szczycie widzisz dokoła świerki i zabudowania hotelowe, które ci cały świat zasłaniają dozwalając tylko skąpego widoku na kawałek nieba. Rad nie rad musisz iść na ową wieżę, do której wstęp przez hotel i to obok kuchni, zkąd cię wonne zapachy zalatują. Jużeśmy mieli uledz téj ponętnéj zasadzce, by pierwéj zaspokoić żołądek niżeli ducha, wszakże zwycięzko odparliśmy pokusę i z dumą przeszedłszy przez kuchenne zefiry, wstąpiliśmy po wygodnych schodach na wieżę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POKŁOSIE.

— W chwili, w któréj słowa te dojdą czytelników naszych, scena polska w Poznaniu na nowo w ruch wejdzie. Z dniem dzisiejszym bowiem, pięcio-aktowemi „Ślubami" Fredry artyści nasi rozpoczynają szereg swoich przedstawień. Spodziewamy się, że publiczność nasza wiadomość tę przyjmie z zadowoleniem, a każdy, któremu nieobojętny jest dźwięk ojczystéj mowy, serdecznem życzeniem i udziałem towarzyszyć będzie artystom, przez mozolną drogę ich zawodu. Bo istotnie, nigdzie więcéj jak u nas scena polska nie zasługuje na poparcie; tu w Wielkopolsce pełni ona prawdziwie patrjotyczne posłannictwo, obywatelską straż na kresach, którą poszanować sumienie każe. Więc zwracamy się z prośbą do publiczności, by popierała usiłowania artystów, a z drugą do nich samych, by nas karmili czystą strawą płodów rodzinnego ducha Niech wygnają ze sceny utwory tchnące giermańskim kosmopolityzmem lub francuzką płochością a dają nam to, co podnosi umysł i uszlachetnia serce a pewni jesteśmy, że to poparcie, o które nawołujemy, znajdą u wdzięcznego ogółu. W końcu wyrazić winniśmy uznanie dla p. Dobrzańskiego który wśród wielu nieprzyjaznych okoliczności i w tak krótkim czasie, zdołał zebrać około siebie wcale niepoślednie towarzystwo.

— Czytamy w Gazecie Warszawskiéj: Otrzymaliśmy następną notatkę: Pod datą 18 maja r. b. pisał do mnie z Pabianic proboszcz tamtejszy, ksiądz Roman Slosman, pytając, czy nie mam nowych danych o Mikołaju Koperniku astronomie i jego stosunkach z Pabianicami? Udzieliłem mu com o tém wiedział, a przytém wskazałem akta kościelne, jako źródło najpewniejsze, z któregoby się można oświecić w tym względzie. W artykule w Gazecie Warszawskiéj Nr. 200 r. b. podanym, nie powiedziano, czy akta te, lub jakowe ich szczątki istnieją jeszcze i jakiéj daty sięgają. Powiedziano tylko, że się z nich upewniono, iż rodzina, z któréj pochodził Mikołaj, polska była rzeczywiście. Dodaję ze swéj strony, że domysł ten poprzeć można samym wyrazem. Jest on bowiem polski, znany wszędzie gdzie Polanie, protoplaści Polaków, mieszkali. Niemiecka mowa nie znała nigdy i nie zna wyrazu Kopr (Koper) i ci, którzy w Westfalji zamieszkawszy, mieli się nazywać czy nawet nazywają dotąd Copern, do naszéj narodowości pierwotnie należeć musieli. Mniemanie to sami uczeni niemieccy (Landau w dziele die Territorien) dziś popierają, twierdząc: że w pierwszych już początkach zamierzchłéj przeszłości zamieszkiwali Germanję nie wyłącznie Niemcy, lecz wspólnie z ludami słowiańskiemi. W. A. Maciejowski.

— Dnia 22 i 23 b. m. miał w Szwerynie nastąpić zjazd niemieckich Antropologów i Etnologów pod przewodnictwem Drów Virchow, Ekert, Schaafhausen i Semper.

— Bawił tu nasz archeolog Aleksander hr. Przeździecki, wracając z Czeszewa, gdzie badał tamtejsze nawodziska; — ma on także zwiedzić jezioro bniñskie i inne miejscowości wielkopolskie, obfitujące w wykopaliska; — następnie uda się do Bononji, gdzie dnia 1go października odbędzie się zjazd międzynarodowy antropologów i archeologów pod przewodnictwem hr. Gozzadini. Na porządku dziennym mają być postawione następujące kwestje, jak to wyczytujemy z trzeciego zeszytu, str. 356, florenckiego Archivio per l'Antropologia e la Etnologia: 1) Wiek kamienny we Włoszech; 2) Jaskinie nadbrzeżne morza Śródziemnego, a zwłaszcza Toskany, porównane z pieczarami południowéj Francji; 3) Nawodziska i torfowiska w północnych Włoszech; 4) Analogja pomiędzy Terramarami a Kjoekkenmoeddingami; 5) Chronologja pierwszéj zamiany bronzu na żelazo; 6) Kwestje kraniologiczne, dotyczące się różnorodnych szczepów, które niegdyś zamieszkiwały rozmaite części Włoch.

— Wychodzący w Ameryce Orzeł Polski podaje wiadomość o powstaniu wyłącznie polskiéj kolonji w hrabstwie Portage, w stanie Wisconsin; dziś kolonja ta liczy 250 familji i zajmuje przestrzeni 12 angielskich mil kwadratowych.

— Nakładem Tow. Naukowego Krakowskiego z fundacji J. R. Lubomirskiego, przez G. Ehrenberga, wydano: Wykład bajek Krasickiego wraz z tekstem tychże.

— We Lwowie wyszło tłomaczenie Dr. Ernesta Haeckla dziejów utworzenia przyrody — będących przystępnym wykładem teorji Darwina. Tłomaczami są J. Czarnecki i L. Masłowski.

— Nakładem autora wyszedł w Krakowie pierwszy tom pamiętników **Natalisa Sulerzyckiego**, byłego posła ziemi pruskiéj na sejm berliński, obejmujący okres czasu od urodzenia autora aż po rok 1848.

— **B. Hrzymala**, czeski kompozytor, napisał nową operę p. t. „Zaklęty książe“ z tekstem J. Böhma, a Zdenko **Fibich** „Bukowin“ z librettem K. Sabiny.

— Wacław **Lewéch** artysta-rzeźbiarz czeski wykonał statuę Adama i Ewy, która powszechną zwraca uwagę znawców.

— Panna Marja **Kwiecińska**, primadonna opery warszawskiéj, przybyła w tych dniach do Poznania z zamiarem wystąpienia w kilku koncertach. Imię słynnéj artystki, zdaje nam się, że jest najlepszą reklamą i dla tego wstrzymujemy się od wszelkich sądów, pozostawiając je publiczności, która najlepiéj ocenić głos p. Kwiecińskiéj potrafi. — Również zjeżdża do Wielkopolski pan **Taborowski**, skrzypek, o którego wystąpieniach artystycznych w Galicji nader pochlebne dochodziły nas głosy.

— **Promyka** Nr 1 wyszedł z druku i zawiera: Do dzieci, wiersz Wł. Bełzy; Bozia, powiastka W. Skiby; Dzieje polski, wierszowane; Magnes (z ryciną); Tatarzy w Polsce, obrazek historyczny; Burza, z nauk przyrodniczych; Kropla rosy, bajeczka i artykuł o najnowszych wydawnictwach dla dzieci. Z pierwszego numeru sądząc, pisemko to szczerze polecić możemy dziecięcéj publiczności, która dotąd właściwego sobie organu tak w Księstwie jak w Galicji nie miała. Promyk umiejętnie łączy pożyteczne z przyjemném, a co najważniejsza przemawia do dzieci przystępnym dla nich a nie zniżającym się nad potrzebę językiem, który wielu pedagogów za nieodłączny od wszelkiego dzieciom poświęconego pisma uważa. Pan Bełza dał już dowody, że umie podawać dziatwie myśl poważną w przystępnéj dla jéj pojęć formie, i dla tego śmiemy twierdzić, że Promyk stanie nieskończenie wyżéj nad wszystkie próby dotychczasowe tego rodzaju.

— Obiecują nam nowy utwór sceniczny p. **Bałuckiego**, autora tak popularnych: „Radzców pana radzcy“, „Polowania na męża“ i konkursowéj „Pracowici próżniacy“; — jest nim komedja: „Na łonie natury“, przeznaczona już podobno do warszawskiego Figara; należy się spodziewać, że ją wkrótce na scenie poznańskiéj zobaczymy.

— Przed kilkoma tygodniami zmarł znany romansopisarz francuzki **Paul de Kock**, na którego imie rzucono anatemat niemoralności. W rzeczy saméj jednak tak nie jest; Kock grzeszył raczéj trywialną i odartą z wszelkich osłon formą, i gdyby go porównać z całą plejadą późniejszych romansopisarzy francuzkich, nie tak smutnéj używających sławy, niejeden romans Kocka wydałby się przy ich utworach arcy-moralnym; założenie bowiem zazwyczaj miało myśl niezepsutą. Dzisiejsze zaś utwory mają wiele szumnych frazesów, pięknych o cnocie deklamacji, ale gdy zapadnie zasłona na scenie, gdy ostatni tom książki przeczytasz, trudno ci jest rozplątać, co w niéj miało być złém, co dobrém, tak się tam oba te pojęcia krzyżują. Powiedzcież mi co jest niemoralniejszém!

Paul de Kock urodził się dnia 21 maja 1794 w Passy pod Paryżem; ojciec jego był bankierem i zginął na gilotynie, brat Henryk znaczne w francuzkiéj dyplomacji zajmował miejsce. — Dzieła jego, których ostatnia a całkowita edycja wyszła w Paryżu 1844—45, zawierają 56 tomów: znaczną ich część przerobił sam Kock na wodewile. Wszystkie niemal doczekały się tłomaczeń na polskie, niemieckie, angielskie i hiszpańskie.

Francuzka „Illustration“ podając ciekawe szczegóły z życia Kocka między innemi powiada, że papież Grzegorz XVI był wielkim dzieł jego zwolennikiem, że w prywatnéj swéj bibljotece posiadał je ozdobne papiezkiemi herbami na okładkach i sam zwykł był mawiać, że ile razy chce się rozerwać, to do dzieł Kocka zagląda, bo „z nim jest się weselszym i ufa się życiu.“ — Nietylko książki ale i osobistość samego autora miała się cieszyć równemiż względami; gdy Châteaubriand przybył do Rzymu w charakterze ambasadora, jedném z pierwszych pytań Grzegorza XVI miało być: „co robi syn nasz kochany Paul de Kock.“ Dziwną tę wesołość zachował Kock do dni ostatnich mimo wieku, dopiéro ubiegła wojna zrobiła go posępnym i przywiodła mu na myśl możebność śmierci, o któréj dotąd żadnym nie chciał myśleć sposobem. Gniewały go strasznie te ostatnie czasy, a o polityce nie chciał z nikim mówić.

Syn jego, również Henryk, urodzony 25 kwietnia 1819, napisał kilka romansów i wodewillów.

— Krakowski Kraj donosi a za nim Dziennik Poznański powtarza o p. **Tomaszewskiéj** Warszawiance, która udaje się do Zürychu na wydział lekarski. „Jest to, dodają owe pisma, pierwsza Polka, poświęcająca się zawodowi lekarskiemu.“ O ile nam wiadomo, przed laty już pięciu czy sześciu praktykowała jako lekarz w Ameryce z wielkiém powodzeniem p. **Michalina Zakrzewska**, Wielkopolanka, która w ostatnich latach założyła tamże szpitał dla kobiét; p. Tomaszewska więc nie będzie pierwszym przykładem. Żałujemy, że obok tego nie możemy postawić imion kobiét polskich, które, jak nas zapewniano, poświęcały się nauce medycyny na uniwersytecie paryzkim.

— Gazeta Narodowa opisuje szczegółowo obchód imienin **Kornela Ujejskiego**, jedynego może, który obok Bogdana Zaleskiego pozostał nam z wielkich imion naszych wieszczów. — W uroczystości téj liczny udział brali włościanie i członkowie rękodzielniczego stowarzyszenia Lwowskiego „Gwiazda“ pod przewodnictwem powszechnie poważanego p. Mieczysława Darowskiego; udział ten najwymowniejszym jest dowodem wpływu znakomitego poety na wszystkie warstwy naszego społeczeństwa.

Skrzynka do listów.

P. J... K... w J...: Poczekamy do Nowego Roku.

Ks. A... A... w B.. : Wysłaliśmy życzone książki.

Panu S. . Sz... w Śremie: Wiersz Jego drukowanym być nie może.

Panu R... R..., autorowi „Dziesięciu przykazań Boskich“ możnaby starém odpowiedzieć przysłowiem: „kpisz, czy o drogę pytasz?“

Panu Arimanowi: Powiadasz Pan w swéj recenzji: „Wiktor Hugo to nie poeta, to nie wieszcz! to wielki pisarz. . itd. — on jest wszystkiém co chcecie, ale nie poetą!“ — Pominąwszy bezzasadność tego zdania, które całkiém przeciwnie chybaby wypadło, — a biorąc je tak jak Pan mieć chcesz, — możnaby coś podobnego powiedzieć o pańskiéj recenzji — jest w niéj wszystko: geologja, aerolity, jenerałowie, niebiańska (!) Fornarina, mamut, Napoleony Isze, pokłady węgla kamiennego, cała mitologja Greków, — wszystko co Pan chcesz wreszcie, ale nie — recenzja.

Słusznie pono twierdzą, że rzeka co szerokiém płynie korytem nie może mieć wielkich głębi: — tak poeta, któryby chciał opisywać „ideał (!!) mamuta“, jak recenzent, któryby chciał pisać sprawozdania o wszystkiém. Hasłem naszego czasu: specjalność — encyklopedyści już przeszli.

Pan się nie zagłębiałeś w poezję, co widoczne z własnych słów Jego: „Dla tego rzadko kto czyta sonety (!?) prócz pięknéj płci, któréj każda jednostka sądzi, że w nich znajdzie swój zidealizowany portret.“ Gdybyś Pan był czytał sonety krymskie, Mickiewicza, znane każdéj z tych, co to w nich szukają, wedle Pana, swych portretów, nie byłbyś sądził, że wszyscy poeci naśladowali Petrarkę i z sonetu eo ipso zrobili hymn pochwalny dla swéj uwielbianéj.

Sprostowanie.

W liście Dr. Levittoux do Dr. Libelta w Nr. 37 na str. 446 w łamie pierwszym, wierszu 15 od góry, zamiast „rzucanie zdań bez ich udowodnienia“, powinno być: „rzucanie zdań w aforyzmach bez ich udowodnienia“; w Nr. 38, str. 458, łam 2, wiersz od góry 47, zamiast „czyli w stanie fizycznéj“, powinno być: „czyli w stanie siły fizycznéj“; w Nr. 39 na str. 470, łam 2, w wierszu od góry 40, zamiast „oni nie znają“, powinno być: „ani drugiéj nie znają.“

W 39 numerze pod tymże artykułem zamiast: „dokończenie nastąpi“, „ciąg dalszy nastąpi.“

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.